

IRAPUATO

WSZECHOBECNA ZŁOWROGOŚĆ

Xabier Montoia

Tłumaczenie: Joanna Janiszewska

POPROSILAM mamę o siostrę. Spojrzała na mnie trochę jakby zdziwiona, ale nic nie odpowiedziała. Dostrzegłam znajomy błysk w jej oczach, które były dokładnie takie same jak wtedy, kiedy zabito tatę Haritza i Oihane. Odwróciła się do okna. Wystraszyłam się wtedy trochę.

– Nie płacz, mamusiu.

– Nie, skarbie. Spokojnie. Dzisiaj nie będę. Chciałabym, żebyś miała siostrę. Często o tym rozmawiamy, tata i ja. Ale dopóki wokół nas są źli ludzie, nie pozwalają nam na nic.

Mnie też się zebrało na płacz. Źli ludzie. Zawsze depczą nam po piętach. To przez nich tu przyjechaliśmy. Przez nich będziemy musieli stąd odejść.

Po drodze na lotnisko rodzice obiecali mi, że po drugiej stronie morza nie będzie żadnych złych ludzi. Już zasypiałam, ale dobrze pamiętam.

Po kolacji mama nie wysłała mnie do łóżka. Ubrała mnie jak do wyjścia na dwór. Włożyła mi czerwoną czapkę na głowę, a wokół szyi zawiązała szalik. Tata zapełnił salon bagażami.

– Stój tam –tata niespodziewanie zawołał z okna. Podał mi jedną rękę, a w drugą chwycił wielką walizę.

– Zostaw zapalone światło – powiedział do mamy.

Padał deszcz. Jakiś znajomy taty, którego nigdy nie widziałam, podszedł do nas i pomógł nam zanieść bagaże do samochodu.

– Zimno ci? – Zapytała mnie mama.

– Nie.

– Zuch dziewczyna ta wasza mała. Prawda? – Kolega taty uśmiechnął się do mnie.

Zaraz potem odpalił silnik.

Kiedy wydawało mi się, że tata i jego kolega nie usłyszą nas, odważyłam się zapytać:

– Dokąd jedziemy, mamusiu?

– Czekają nas podróże – odpowiedziała. – Przeprowadzimy się na drugą stronę oceanu.

– A czy tam są źli ludzie?

Wtedy odpowiedziała, że to miejsce, do którego jedziemy jest za daleko i, że źli ludzie nie będą w stanie tam dotrzeć.

Jechaliśmy chyba całą noc. Kiedy się obudziłam akurat wschodziło słońce. Niebo było bardzo czerwone, tak czerwone jak gdyby jeden z tych złych ludzi strzelił w nie i zostawił je całe zakrwawione.

– Śpij dalej – powiedziała mama przytulając mnie do siebie. Obudzę cię gdy dojedziemy.

Zamknęłam oczy. Udawałam, że śpię, ale tak naprawdę wsłuchiwałam się w dochodzące z zewnątrz dźwięki, słysząc głównie samochody jadące po mokrej ulicy. Było ich mnóstwo. Z pewnością znajdowaliśmy się w jakimś dużym mieście. Co najmniej tak dużym jak Bayonne, jeśli nie większym. Być może równie dużym jak i Pampeluna, sądząc z tego, co tyle razy opowiadał tata. Przez dłuższy czas słuchałam tych dźwięków. Ucieszyłam się, kiedy w końcu zauważyłam, że nasz samochód zaczął zwalniać.

– Irati! – Usłyszałam głos mamy.

Dotarliśmy na lotnisko.

Nasz kierowca uściskał mamę i tatę. Oczy mamy miały wtedy taki sam wyraz, jak teraz. Mnie ucałował w policzki.

– Nie poddawajcie się! – Krzyknął do nas zamykając drzwi auta.

Patrzyliśmy za nim jak znika wchłonięty przez poranny sznur samochodów.

– Daj rękę i bądź grzeczna – powiedział do mnie tata, kiedy wchodziliśmy na lotnisko. Było niesamowite, ogromne i nie trzeba było chodzić, żeby przemieszczać się po korytarzach. To samo na schodach. Bez podnoszenia nóg i prosto na górę. Wszędzie pełno ludzi przechodzących z jednej strony na drugą. Niektórzy w pośpiechu. Byli tacy co siedzieli i inni, co leżeli na krzesłach i spali. Czego tam nie było... Tyle twarzy i kolorów!

Tata wziął walizkę i pakunki, i zaniósł je do jakiejś pani ubranej na niebiesko.

– Gotowe! – Ucieszył się, kiedy stamtąd wrócił. – Nie musimy się o nie martwić aż do momentu, kiedy dotrzemy do Meksyku.

– Ile mamy jeszcze czasu? – Zapytała go mama.

– Półtorej godziny.

Usiedliśmy. Tuż nad naszymi głowami znajdował się telewizor. Nie było w nim jednak ludzi, tylko jakieś liczby i słowa. Tata wyjaśnił mi, że dzięki nim wiadomo, kiedy dany samolot odlataje. Patrzyliśmy w tamtą stronę, kiedy tata nagle powiedział, „idziemy!”

Tamtejsza policja, tak jak ta z Kraju Basków, nosi niebieskie mundury, ciemniejsze od tego, który miała pani od bagaży. Z daleka ich rozpoznałam.

„Psy!” – Chciałam, żeby rodzice o tym wiedzieli.

– Nie denerwuj się, kochanie. Nic nam nie zrobią – tata ścisnął mocniej moją rękę.

Boję się policjantów. Są źli. Tak samo podli jak ci źli ludzie. Rodzice mówią, że są tacy sami jak oni.

Tata miał rację, nie zrobili nam nic złego. Pozwolili nam spokojnie przejść. Kiedy byłam przed nimi, jeden z nich położył rękę na mojej głowie i coś do mnie powiedział. Wstrząsnął mną dreszcz. Nie sądzę, żeby ten policjant zdał sobie z tego sprawę. Tata tak,

z pewnością. To dlatego lekko mnie szturchnął, żeby policjanci nie zorientowali się, że się boję.

NAJBARDZIEJ lubię weekendy. Nie muszę iść wtedy do szkoły, a nasza chatka – nasze *ranchito* – wypełnia się ludźmi, jak w prawdziwym barze. Mama robi tortille i inne pyszności, tata podaje do stołu, a ja pomagam. W soboty i niedziele wynosimy łózka za dom, a stamtąd zabieramy trzy długie stoły, które chowamy tam przez resztę tygodnia. To drewniane stoły, zrobione przez tatę.

Nasi klienci to zazwyczaj ludzie z okolicy, choć czasem przyjeżdża też ktoś z miasta. Koldo i Rikardo zjawiają się co niedzielę. Zawsze ulokowują się w tym samym miejscu, trochę z boku. Obok nich siada tata, gdy już rozniesie kawę. Mogą tam gawędzić godzinami. Rozmawiają o Kraju Basków. W tym czasie Meksykanie oglądają piłkę nożną w telewizji. Koldo i Rikardo też lubią piłkę nożną, ale nawet o tym nie wspominają, chyba, że jest z nimi Don Manuel Bilbao. Wtedy tak, wtedy o tym mówią, ale po hiszpańsku.

Don Manuel Bilbao nie jest Baskiem, mimo, że on uważa inaczej. Jego tata, owszem, urodził się w Kraju Basków. Don Manuel nie, on urodził się w Guanajuato. Wiem, bo tata mi mówił. Don Manuel jest stary. Tak stary jak dziadzio z Villavy. I bogaty. Koldo i Rikardo nie przepadają za nim.

„Pyszałek, ot co!” – Mówią. – Nie można mu ufać.

– Możecie mówić co chcecie, ale my dużo mu zawdzięczamy – broni Don Manuela mama.

– Tak jest – wtóruje mamie tata. Gdyby nie on, kto wie gdzie tata byłby dziś.

Wszyscy wiemy o co chodzi.

Jak zawsze, tamtego dnia przyjechali po mnie rodzice. Kiedy wracaliśmy do domu, przy wyjeździe z miasta, policja zatrzymała

nas na kontrolę. Tata jechał ostrożnie, żeby w razie kontroli policyjnej móc szybko zawrócić. Nie wiem co mu się stało, ale zobaczył policjantów dopiero gdy byliśmy obok nich. Za późno. Poprosili go o dokumenty.

– Będzie pan musiał pojechać z nami – powiedział policjant, który wyglądał na najważniejszego z nich.

Tata włożył rękę do kieszeni. Wyciągnął kilka banknotów i podał policjantowi. Ale tamtego dnia nie chcieli ich przyjąć.

Kiedy policjanci odjechali z tatą, mama usiadła za kierownicą.

– Nie martw się, kochanie! – Powiedziała tak jak zawsze.

Zagryzła wargi i docisnęła pedał gazu. Wiedziała dokąd teraz jechać.

Szybko znaleźliśmy się w domu Don Manuela. Jego służąca otworzyła nam drzwi, kazała się rozgościć, a sama poszła szukać swego pana.

Dom Don Manuela jest wspaniały. Z zewnątrz zbudowany z wielkich kamieni, w środku drewniany. Na ścianach wisi mnóstwo obrazów – widoki, kwiaty... Wokoło przepiękne wazony pełne białych i czerwonych kwiatów.

– Co się stało?

Mama wymówiła imię taty. Nic więcej nie powiedziała. Zachłysnęła się łzami. Ja też zaczęłam płakać.

– Spokojnie, proszę. Szybko wyjaśnimy ten przykry incydent – obiecał nam Don Manuel.

Mama na chwilę przestała płakać.

– Wykonam parę telefonów i zobaczą panie jak szybko znów będzie z nami – dodał – W międzyczasie podeślę paniom Lidie.

Lidia, to służąca, która otworzyła nam drzwi. Przyniosła tacę. Słodkie wino dla mamusi, a dla mnie szklanek mleka i jakieś ciasteczka.

Mama szybko opróżniła swoją szklanekę. Ja z kolei, zjadłam ciasteczka, ale mleko zostawiłam prawie nietknięte.

– A nie mówiłem? – wrócił Don Manuel. – Było trochę trudniej niż myślałem, ale wkrótce do nas wróci.

I tak też się stało.

Od tamtej chwili tata był jeszcze ostrożniejszy. Widząc policjantów robił uniki, tak jak na filmach. Podobałoby mi się to, gdyby nie chodziło o tatę. Źle to znosi. Mama też, kiedy na nas czeka. I ja również, widząc ich oboje zmartwionych.

Tata zawozi mnie do szkoły i po lekcjach, przywozi do domu. Codziennie jedzie po dwa razy w obie strony. Dwa razy jest w niebezpieczeństwie z mojego powodu.

Nie lubię szkoły. Mnie też tam nie lubią. Mówią na mnie *Pelona*, Łysolka, ale cóż, trzeba tam chodzić. Tata i mama boją się. A szkoła ma wysokie mury, więc myślą, że jestem bezpieczna i, że nikt mnie nie porwie. Są przerażeni, kiedy słyszą wiadomości o zaginięciach i kiedy idąc do supermarketu, widzą zdjęcia porwanych chłopców i dziewczynek na drzwiach wejściowych. Dlatego zawsze trzymają mnie mocno za rękę. Bo w każdym zakamarku czają się porywacze dzieci. Podobno robią im straszne rzeczy. Zabijają i kroją na kawałki, żeby później sprzedać dla *gringo*, do ich szpitala. Co tylko zechcesz: wątroba, nerka, serce...

Dlatego wolę weekendy – nie ma szkoły, żadnych niespodziewanych kontroli. W końcu można być spokojnym.

I tacy wtedy jesteśmy. Spokojni, zadowoleni. Szczególnie, kiedy zapelniają się stoły. Wtedy mamie różowieją policzki. Ja oczywiście też się cieszę. W poniedziałek będziemy mieli pieniądze, żeby iść do supermarketu na zakupy. Uwielbiam tam chodzić z rodzicami. Gdybym mogła siedziałabym tam cały dzień. Korytarze nie mają końca, a na półkach leży mnóstwo rzeczy. Są ich tysiące. O różnych kolorach i kształtach. A mama ciągle kupuje to samo – fasole,

ryż, mąkę kukurydzianą, kawę... Według niej reszta, to zachcianki. Szczególnie to, o co ja proszę.

– Nie kupię ci tego, bo nie mamy na to pieniędzy, a poza tym, słodczye są niezdrowe. Jak będziesz je jadła, to wypadną ci zęby.

– To dlatego Humberto nie ma zębów? Od jedzenia słodczych?

– Nie – powiedziała mama. – To akurat ze starości.

– Starość? – Ta odpowiedź mnie zdziwiła. – Dziadzio z Villavy też jest stary, a nie brakuje mu zębów.

– Villava jest daleko, kochanie – powiedziała mi mama, jakbym nie wiedziała.

Tyle to ja wiem. Tata pokazał mi w atlasie, który dostaliśmy od Kolda. „My jesteśmy tu”, położył palec koło Guanajuato. Następnie przesunął go w prawo, przejechał pomalowany na niebiesko fragment i dotarł do Europy. Na skraj Europy. Do miejsca gdzie chciałabym być.

Kiedy mieszkaliśmy w Baigorri, odwiedzało nas mnóstwo osób. Przyjeżdżali dziadkowie, wujkowie, ciotki... Odkąd musieliśmy stamtąd uciekać, tylko wujek Patxi nas odwiedził. Raz tylko. Jesteśmy tak daleko...

Przywiózł wtedy masę rzeczy. Likier, który mama i tata piją od czasu do czasu i to tylko z Koldem i Rikardem. Książki i czasopisma. Listy i pozdrowienia od dawno już niewidzianych przyjaciół. Dla mnie przywiózł ubrania. Są śliczne, po kuzynce Arantxi. Szkoda, że nie mogę ich nosić w weekendy. Rodzice mówią, że są do szkoły.

Szkoła. Lepiej by było, gdybym do niej nie chodziła. Tak dla mnie jak i dla rodziców. Mielibyśmy więcej pieniędzy i mniej zmar-twień. Ale bez skutku. Nie mogę ich do tego przekonać.

– Wy też nie lubicie zakonnicy – powiedziałam im. – Słyszałam to nie jeden raz.

– Zgadza się, ale wiemy, że w szkole jesteś bezpieczna i nic ci się nie stanie.

No właśnie! Mogę sobie gadać, a oni dalej swoje. Mają mnie gdzieś. Opowiedziałam im to o włosach, ale nadal mam króciutkie. Przyznałam się, że dzieci w szkole śmieją się ze mnie, a oni na to, że to głupstwo, zwykła dziecinada i, że szybko o tym zapomną.

– Krótkie włosy łatwiej utrzymać w czystości – powiedzieli. – Nie chcesz wiedzieć, co też się może kryć w takim kołtunie.

– Chciałabym mieć włosy Marii. Czarne i sięgające za ramiona. Albo cudne loki Jennifer. Albo warkoczyki Lolity, mama codziennie jej zaplata.

– Mama tej Lolity nie ma nic innego do roboty. A ja owszem – powiedziała mi mama. – A poza tym, chcesz się tak ubierać? Na niebiesko i różowo?

– Tak.

– Nie mogłabyś się wtedy bawić z psami.

– Dlaczego nie?

– Idź do lustra i spójrz na siebie. Te psy codziennie brudzą cię od stóp do głów.

Lubią mnie. Z daleka rozpoznają hałas samochodu i jak tylko go usłyszą, zaczynają szczekać. Jeszcze zanim nas zobaczą. Tak mnie witają, kiedy wracam ze szkoły. A kiedy samochód się zatrzymuje, opierają pyski o szybę po mojej stronie, tak, że czasem z trudem otwieram drzwi. Później skaczą na mnie, kiedy wysiadam.

– Pomyśl, co by było gdybyś zamiast tych ciemnych spodni miała taką sukienkę, jak dziewczynki ze szkoły.

Jeden z psów, ten mały, wabi się Kriskitin. Drugi to Kraskitin. Jak tylko Humberto przyniósł je do nas, dałyśmy im z mamą te imiona. Wzięłyśmy je z jednej piosenki, którą często słyszałyśmy i śpiewałyśmy w Baigorri.

Eta kriskitin kraskitin
Larrosa krabelin
*Ardoa edaten hobeki...*¹

Odkąd jesteśmy tutaj, nie słuchamy muzyki zbyt często. Tylko w telewizji. Ale to się nie liczy. Do dziś pamiętam, jak po przyjeździe po raz pierwszy słuchaliśmy kaset przywiezionych z Kraju Basków. Jak tylko zaczęła się druga piosenka, mama się rozplakała, a ja wraz z nią. Kiedy tata nas zobaczył w takim stanie, chciał coś powiedzieć. Otworzył usta, ale słowa uwięzły mu w gardle. Jakiś czas później jeszcze raz spróbowaliśmy posłuchać, ale skończyło się tak samo. Trzeciego razu już nie było.

Za to bardzo często śpiewamy. Przede wszystkim ja z mamą. Najczęściej są to piosenki, które znamy z Baigorri. Te, które śpiewałam z Haritzem i Oihane. Piosenki psa Pintxo i te, które śpiewały trzy wesołe clowny – Txirri, Mirri i Txiribiton².

Tata nie lubi śpiewać tak jak my. Robi to tylko w szczególne dni. Z Koldem i Rikardem, zawsze po tym jak wypiją likier przywieziony przez wujka. Z chęcią śpiewają w takich chwilach. Kończą jedną piosenkę i zaczynają następną. Jeśli przerywają, to tylko po to żeby zwilżyć usta i przelżyć. Śpiewają i popijają przy stole, a ich głosy stają się coraz silniejsze. Coraz szybciej ucinają słowa. I tak aż do ostatniej piosenki. Ostatnia, bo tak zawsze jest. Słyszę pierwsze słowa i wiem, że występ dobiega końca. Przynajmniej jeden z nich, jeśli nie wszyscy trzej, szybko zaczyna płakać. To smutna melodia. Na dworze psy zawodzą jak wilki.

Oi ama Euskal Herri goxua
Zugandik urrun triste banua...

Baskijska Kraino, o matko słodka,
Odchodzę od ciebie pełen smutku...

¹ Przyśpiewka towarzysząca zabawom, biesiadom.

² Postaci z teatryków telewizyjnych dla dzieci.

KRISKITIN i Kraskitin czekały przeraźliwie. Na początku wzięłam tych ludzi za turystów. Przyjechali w dwóch samochodach. Zatrzymali się przy drodze i rozglądali się dookoła, jakby się zgubili. Prawie ich nie widziałam. To przez słońce. W dodatku, wrócili do samochodów i od razu odjechali. Myślę, że rozmawiali ze sobą, ale ja nic nie usłyszałam.

Mama siedziała w *ranchito*. Miała swoje zajęcia. Kiedy wyszła, zdążyła tylko zobaczyć wzbity przez odjeżdżające samochody chmurę kurzu.

– Co to było?

– Nic – odpowiedziałam. – Ktoś się zgubił.

– Przekłete psy! – Rzuciła mama wracając do swoich obowiązków.

Kilka dni później znów się pojawili. Wtedy było ich lepiej widać. Byli w czwórkę albo w piątkę. Zachowywali się jak za pierwszym razem. Wysiedli, popatrzyli z drogi w naszym kierunku i wrócili do samochodu. Mama z krzykiem przybiegła do mnie, chwyciła za ramiona i szybko zaprowadziła do domu. W jednej chwili pozamykała na cztery spusty wszystkie drzwi i okna. Była przerażona. Nie wypuszczając z objęć, zabrała mnie do kuchni i tam już zostaliśmy. Wzięła ze stołu nóż do krojenia mięsa. Ze strachu miałyśmy oczy jak spodki. Nasłuchiwałyśmy, nie słysząc niczego oprócz szalonego bicia własnych serc. Daremnie próbowałyśmy wychwycić jakiś dźwięk z zewnątrz.

Długo czekałyśmy. Mijały godziny, aż w końcu wrócił tata. Wystraszył się widząc wszystko pozamykane. Jeszcze bardziej przeraził się na nasz widok. Nie wyglądałyśmy za dobrze. On zresztą też nie. Pracował jako malarz i wrócił cały ubrudzony farbą. Tamtego dnia pojawił się wyjątkowo brudny, z białymi plamami na włosach i czerwonymi przy ustach. Wyglądał jak clown Txiribiton. Gdybyśmy nie były tak wystraszone, wybuchnęłybyśmy śmiechem na jego widok.

W nocy, po kolacji, tata schylił się pod łóżko. Wyciągnął stamtąd czerwony karton. Wiedziałam co to było. Wiedziałam, że chował w nim pistolet. Humberto mu go podarował.

– Będziesz musiał go wziąć – powiedział wtedy do taty. – Wszyscy tutaj mamy. Tu jest pełno złodziei, *bandidos*. Kręci się tu, dużo przemytników handlujących żywym towarem, *coyotes*, więc będziecie potrzebowali czegoś żeby móc się obronić.

Na początku tata powiedział, że nie, że nie weźmie.

– Myślisz, że nie będziecie go potrzebowali? – Uśmiechnął się Humberto – Zobaczmy za miesiąc, czy nie będzie wam potrzebny. Macie małą córeczkę, a tutaj małe dzieci często znikają.

Słowa Humberta dały tacie do myślenia. Spojrzał na mnie, później na mamusię.

– Dziękuję – w końcu jednak przyjął przyniesiony przez Humberta karton.

Humberto jest stary, naprawdę stary, o wiele starszy niż dziadzio czy Don Manuel. Ma co najmniej ze sto lat.

– Pamiętajcie, jeśli jakiś nieznajomy będzie tu węszył, wystrzelcie trochę ołowiu w powietrze i zobaczycie, jak szybko bierze nogi za pas.

Tata otworzył karton, wyciągnął pistolet i zabrał się do czyszczenia. Robił to niekiedy, ale jeśli już, to zawsze po kolacji. Rozkładał go na części, oliwił i, biorąc koniuszek szmatki, pucował aż wszystko lśniło.

– Gdybyśmy mieli choć jeden taki w Kraju Basków! – Wymknęło się tacie. Jestem pewna, że patrzył na pistolet, który trzymał w ręce.

Powiedział to mamie. Ja już byłam wtedy w łóżku i stamtąd go usłyszałam. Usłyszałam też strzał. A może był to odgłos zamykanych przez tatę drzwi, kiedy wchodził do środka. Chwilę później rodzice poszli spać.

Długo rozmawiają w łóżku. Po cichu, żeby mnie nie obudzić. Ale ja, mimo, iż mam zamknięte oczy, wcale nie śpię. Często wspominają czasy, kiedy mieszkaliśmy w Baigorri.

Tak jak wtedy, gdy przychodzą Koldo i Rikardo – prędzej czy później też zaczynają o tym mówić. Często przypominają sobie imiona przyjaciół, których im zabili – Peru, Juan Mari, Mikel... Nie mogą ich zapomnieć. Nie mogą zapomnieć, w jaki sposób ich zabito – kiedy byli w hotelu, w pracy, wśród dzieci. Większości nie znałam. Z kolei innych podobno poznałam, ale nie przypominam ich sobie. Tata Haritza i Oihane jest jedynym, którego dobrze pamiętam. Był wielkim przyjacielem rodziców i mieszkał blisko nas. Czasami zawoził całą naszą trójkę do szkoły. To samo robiła też moja mama. Czasami rano sadzała mnie na tylnym siedzeniu i jechałyśmy po nich. Oczywiście, tak było, zanim zjawili się źli ludzie.

OSTATNI raz zawitali w nasze strony tydzień temu. Przyjechali po południu. Zjawili się o tej samej porze co pozostałe dwa razy. Tak jak zawsze, zostawili samochody na skraju drogi. Ale zauważyłam, że zamiast tam zostać, zbliżają się do nas. Kriskitin i Kraskitin nigdy jeszcze nie szcekały z taką zajadłością. Mama była akurat w *ranchito*. I pomimo, że natychmiast po mnie wyszła, nie była w stanie zaprowadzić mnie do domu tak szybko jak powinna. Byli już przy drewnianym płocie otaczającym *ranchito*, zanim gdziekolwiek zdążyłyśmy pójść. Stałyśmy jak wryte widząc nieznajomych przy bramie. Mama przytuliła mnie do siebie. Patrzyła na nich.

– Nie miałam innego wyjścia – wyznała tacie jak tylko wróciłam z pracy. – Wystraszyłam się. Na początku myślałam, że przyjechali po Irati.

Ale nie po mnie przyjechali. Mama zorientowała się, kiedy się odezwali.

– Jak tam wakacje tutaj? – Zapytali ją szczerząc zęby w fałszywym uśmiechu.

Mama nie odpowiedziała. Była bardzo blada.

– Mamusiu! – Musiałam się poskarżyć. Tak mocno ścisnęła moje ramię, że bolało.

Mówili po hiszpańsku. Ale nie tak jak tutejsi, nie tak jak Humberto i inni.

To byli Hiszpanie, rodzice nie mieli wątpliwości.

Pomimo, że mama nie odpowiadała, Hiszpanie nie milkli.

– Okropna okolica, a porównując do zielonego krajobrazu Kraju Basków, to już w ogóle. Bądź co bądź, jeśli się państwu tutaj nie podoba, możemy państwa zabrać w inne miejsce. Wystarczy tylko powiedzieć. Mamy dla państwa dużo propozycji. Do wyboru są miejsca, gdzie zawsze jest piękna pogoda, w sam raz na długie wakacje. Nie chcą panie wiedzieć co mamy do zaoferowania?

– Wydają się niezbyt zadowolone z naszej oferty, czyż nie, chłopaki? – Inny przejął pałeczkę.

– No jakoś nie za bardzo – pozostali wybuchnęli śmiechem.

– Być może nie wyraziliśmy się jasno. Spróbujemy jeszcze raz.

Padły jakieś nazwy, podobno hiszpańskich więzień. Mama cała drżała. Czułam to przez ramię, które ciągle ścisnęła. Wciąż milczała. Z kolei Kriskitin i Kraskitin nie wydawały się ani trochę zmęczone ciągłym ujadaniem. Kręciły się wokół nas bez ustanku, nie spuszczać wzroku z przybyłych.

– No tak. Chyba nie doceniają naszej propozycji. Czyżbyście państwo woleli zostać tutaj i nigdzie nie jechać? Zostać tutaj na zawsze, tak jak państwa przyjaciele, Erro i Garzia? Wybór należy do państwa.

To powiedziawszy sięgnął ręką do kurtki. Trzymał pistolet. Większy niż ten taty.

– A więc woła panie być tutaj, zaśmiał się i wycelował w nas.

Mama krzyknęła. Drżała jeszcze bardziej. Ja też krzyknęłam. Mężczyźni zaśmiewali się do rozpuku, a Kriskitin i Kraskitin biegały oszalałe wokół nas.

– Rozhisteryzowane te kundle, mówili między sobą.

Wtedy padły dwa strzały. Nagle poczułam na skórze ciepłą, lepłą ciecz.

Mama wypuściła mnie z ramion dopiero, kiedy opadł kurz wzniecony przez odjeżdżające samochody. Nasze dwa psy, leżały u naszych stóp w kałuży krwi. Były nieme, zapatrzone w niebiesciutkie niebo. Wokół *ranchito* panował codzienny spokój. Zdawało się, że zarówno droga jak i łąki pogrążone są we śnie.

Tamtej nocy tata też wyciągnął pistolet spod łóżka. Ale nie strzelał. Porządnie zamknął drzwi i położył broń pod poduszkę.

Nawet nie wiem, o czym rodzice wtedy rozmawiali, bo ledwie przyłożyłam głowę do poduszki, już spałam. Wiem tylko, że następnego dnia tata nie poszedł do pracy, ani ja do szkoły. Razem zjedliśmy śniadanie, tak jak w weekend. Później tata pojechał do miasta, do Don Manuela.

– Wiesz, gdzie jest pistolet – powiedział do mamy kierując się do wyjścia. – Wszystko pozamykaj i nie wychodźcie. Wrócę najszybciej jak będę mógł.

Dzień nam się dłużył. Rano pomogłam mamie w domu. Ale po obiedzie, gdy już pozmywałyśmy, nie miałyśmy nic do roboty. Przed telewizorem też się szybko znudziłam. To samo z lalkami. Chciałam się nimi pobawić, ale wkrótce zaczęły wypadać mi z rąk. Podobnie było z mamą. Otworzyła książkę, przeczytała zaledwie kilka stron i zamknęła ją. Wzięła inną i znów to samo.

Od czasu do czasu patrzyłyśmy na zewnątrz przez szpary między żaluzjami. Pomiędzy jednym a drugim spojrzeniem ta cieniutka linia między niebieskim niebem, a brunatną ziemią prawie się nie zmieniała. Jak na obrazku.

Kiedy usłyszałyśmy samochód taty, niebo było w kolorze krwi.

RODZICE z niecierpliwością czekali na przyjazd Don Manuela. Nie minęło nawet kilka dni gdy się zjawił, ale oni cały czas byli niespokojni. Tak jak prosił, zostaliśmy na miejscu i nie oddalaliśmy się. Zamknięci w domu. Nocami otwieraliśmy jedynie drzwi, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Całe szczęście. Gotowaliśmy się tam. Słońce nagrzewało metalowy dach, a z nas pot leciał ciurkiem. Wynudziliśmy się za wszystkie czasy, bo nie było nic do zrobienia. W obawie, że wrócą Hiszpanie, rzucaliśmy baczne spojrzenia na zewnątrz, czujni na każdy hałas i każdy ruch. Tata i mama co jakiś czas spoglądali przez szpary w żaluzjach. Nie mogliśmy się ani bawić, ani normalnie rozmawiać, więc pozostało nam tylko oglądanie telewizji. Patrzyliśmy więc w ekran. Z łóżka. Mogliśmy tylko oglądać, bo od rana nie było głosu. Przynajmniej do momentu, kiedy na ekranie pojawił się Indurain. Wtedy wrócił głos. Mama coś powiedziała do taty, a on szybko podbiegł do telewizora. Indurain właśnie wygrał wyścig.

– On jest z Villavy. Z tego samego miasta, co ja – powiedział mi tatuś wskazując na kolarza.

Wiedziałam o tym. Nie sposób nie wiedzieć, skoro tata był z tego powodu taki dumny. Ale Indurain szybko zniknął z ekranu. I znów, zanim jeszcze poszliśmy spać, nastąpiła przytłaczająca cisza i wszechobecna nuda.

Takich nas zastał Don Manuel – apatycznych, wykończonych i milczących.

– Te skurwysyny posunęły się do kłamstwa. Koldo i Rikardo żyją – powiedział popijając przyniesioną przez mamę kawę.

Mama popłakała się ze szczęścia.

– Co prawda, nie zauważyli nic podejrzanego, ale musieli uciekać, na wszelki wypadek – Don Manuel mówił dalej. – Nie sadzę, żeby wam cokolwiek zrobili, ale mają zgodę od Federalnych, żeby was przynajmniej kontrolować. A wiecie, że Federalni się liczą, ja nie mam tu nic do gadania. Są grubymi rybami, nie to co my tutaj.

Rodzice spojrzeli na siebie, „rozumiemy”, powiedzieli zdesperowani.

Nastąpiła chwila ciszy, która się przedłużała. Przez żaluzje widać było niebo pełne gwiazd. Don Manuel dopił kawę, którą trzymał w ręce, podniósł się i podszedł do drzwi.

– Moi znajomi z Guanajuato obiecali, że przyjrzą się waszej sprawie. Gdybyście czegoś potrzebowali, wiecie gdzie mnie znaleźć – powiedział nam na pożegnanie.

Wczorajsza noc zdawała nam się tak długa, jak te dni kiedy czekaliśmy na Don Manuela. Rodzice rozmawiali. Nigdy wcześniej nie rozmawiali tak cicho, prawie szeptali. Nawet nie starałam się zrozumieć, o czym mówią, bo wiedziałam, co się wkrótce wydarzy. Wrzucimy do walizki wszystko co się da i któregoś wieczoru wyniesiemy się stąd na zawsze. W ten sposób opuściliśmy Kraj Basków, tak samo opuścimy i to miejsce. Dlatego prosiłam mamę o siostrę. Bo nie chcę znowu zostać bez przyjaciół. Najpierw straciłam Haritza i Oihane, teraz Kriskitina i Kraskitina. Pojedziemy w inne miejsce, zaczniemy nowe życie, i jak już znajdę nowych przyjaciół, znów będziemy musieli uciekać. A gdybym miała siostrę, gdziekolwiek byśmy się nie udali, zawsze miałabym się z kim bawić. Dziś nic mi nie odpowiedziała. Ale jutro znów ją poproszę.

Na pewno mi powie, że nie potrzebuję siostry, że już się nie ruszymy stamtąd, dokąd jedziemy i, że będę tam miała wielu przyjaciół. Tak samo mówiła kiedy tu przyjechaliśmy, że tu nie będzie złych ludzi.

Ale źli ludzie są wszędzie.